

Włamywacz Gentleman.

PRZYGODY ZBRODNIARZA.

przez Maurycego Leblanc.

8

(Ciąg dalszy).

Chwilowe milczenie zapanowało po tem oświadczeniu.

Poczem pan Valorbe poprosił, aby go zaprowadzono do mieszkania Henryki.

Zastano ją przy szyciu, podczas gdy synek jej Raul, sześć- lub siedmioletni chłopak, czytał obok niej. Nieco zdziwiony, że pomieszczono ją w tak nędznem mieszkaniu, składającym się zaledwie z małego pokoiku bez pieca i skrytki, służącej za kuchnię, komisarz zwrócił się do niej z pytaniami. Zdawała się być wzburzona do głębi, dowiadując się o popełnionej kradzieży. Wczoraj wieczorem ubierała hrabinę i sama zapięła naszyjnik na jej szyi.

— Panie Boże! — wykrzyknęła — ktoby to mógł powiedzieć?

— I pani nic nie przypuszczasz? Nic na myśl pani nie przychodzi? Może jednak złoczyńca mógł przejść tedy?

Zaśmiała się szczerze, nie przypuszczając nawet, że można byłoby ją podejrzewać.

— Ależ ja nie wychodziłam z pokoju! nie wychodzę nigdy. A zresztą, czyż pan nie widziałeś?...

Otworzyła okno kuchenki.

— Proszę popatrzeć, blisko trzy metry do tamtego okna.

— Któż pani powiedział, że podejrzewamy, iż kradzież popełniono tedy?

— Ale... czyż naszyjnik nie był tam, w alko-

wie!

— Skąd pani wie o tem?

— Mój Boże... wiedziałam, że tam go zawsze na noc chowają... mówiono o tem przy mnie...

Na twarzy jej, młodej jeszcze, którą jednak smutek uczynił zwiędłą przedwcześnie, malowała się słodycz i rezygnacja. Nagle wszakże w chwili ciszy po pysach jej przemknął wyraz męki, jakby odczuła grożące jej niebezpieczeństwo. Przytuliła synka do siebie. Dziecię wzięło jej rękę i czule ucałowało.

Kiedy znaleźli się już sami, pan de Dreux rzekł do komisarza:

— Nie przypuszczam wszakże, abyś ją pan podejrzewał? Mogę odpowiadać za nią. To uczciwość chodząca.

— O, jestem zupełnie tego samego przekonania — potwierdził pan Valorbe. — Co najwyżej przypuszczałbym współwinę bezwiedną. Ale przychodzę do przekonania, że i to przypuszczenie porzucić musimy, tembardziej, że nie rozwiązuje nam dokładnie kwestyi, o którą ustawicznie się potykamy.

Komisarz nie dodał nic do śledztwa, które dni następnych sędzia śledczy wdroył i rozwinął. Przepytywano służących, sprawdzano całość zamków, robiono próby z otwieraniem i zamykaniem okna alkowy, zbadano kurytarzyk od góry do dołu... Wszystko było na próżno. Zamki były nienaruszone, okno ani się nie otwierało, ani zamykało z zewnątrz.

Szczególą jednak uwagę zwrócono na Henrykę, bo pomimo wszystko ciągle powracano do niej. Przejrzano wszystkie najdrobniejsze szczegóły jej życia; okazało się przytem, że w ciągu trzech lat wychodziła z domu nie więcej jak cztery razy i to każdorazowo można było określić dokładnie cel wyjścia. W rzeczywistości spełniała funkcję pokojowej i szwaczki u pani de Dreux, która według zeznań poufnych wszystkich służących obchodziła się z nią bardzo surowo.

— Zresztą — mówił sędzia śledczy, który po tygodniu poszukiwań przyszedł do tych samych wniosków, co komisarz — przypuśćmy nawet, że mamy winowajcę, a nie mamy go wcale, to jeszcze nie wiemy, w jaki sposób kradzież spełnioną została. Z obu stron stoją przed nami dwie przeszkody: zamknięte drzwi i zamknięte okno. Jak można wejść i, co jest o wiele trudniej, jak można wymknąć się, pozostawiając za sobą drzwi zamknięte na zamek i zabarykadowane okno?

Cztery miesiące ciągnęło się śledztwo. W końcu czwartego miesiąca wewnętrzne przekonanie sędziego streściło się w następnym wniosku: państwo de Dreux w chwili nagłej potrzeby — a potrzeby ich były ogromne — sprzedali naszyjnik królowej. I na tem zamknął sprawę.

* * *

Strata drogocennego klejnotu była dla państwa de Dreux Soubise ciosem, który na długi czas był ich podkopką.

Skarb ten przedstawiał w sobie pewnego rodzaju kapitał zapasowy, na którym do pewnego stopnia kredyt ich się opierał; obecnie wierzytiele stali się bardziej wymagający, a zaciągnąć pożyczkę było coraz trudniej. Trzeba było przystąpić do ostateczności: wysprzedawać, hypotekować. Jednem słowem doszłoby do zupełnej ruiny, gdyby nie uratowały ich niespodzianie dwa znaczne spadki po dalekich krewnych.

Państwo de Dreux byli tak upokorzeni w swej dumie, jakby im ubyło połowę ich szlachectwa. I co szczególniejsze, hrabina całe swe nieszczerście przypisywała dawnej swojej koleżance z pensyi. Czula do niej głęboką urazę i otwarcie ją oskarżała.

Zaraz po wypadku kazała przenieść ją na piętro służących, później zupełnie wyprawiła ją z domu.

I życie popłynęło dalej bez szczególniejszych zdarzeń. Państwo de Dreux podróżowali dużo. Znaczący tu tylko należy jeden drobny wypadek. W kilka miesięcy po odjeździe Henryki hrabina otrzymała list, który w wielkie wprawił ją zdumienie.

„Pani Hrabino!

Nie wiem, jak mam dziękować. Bo wszakże pani przysłała mi to wszystko? Nikt to inny być nie może, tylko pani. Nikt inny nie wie o mojem schronieniu w tej małej mieścinie. Jeśli się mylę, racz pani wybaczyć i proszę przyjąć wyrazy wdzięczności chociaż za to, co wyświadczyłaś mi pani pierwszej...“

Co to miało znaczyć? To, co hrabina świadczyła dla niej teraz lub pierwszej, streszczać się mogło tylko w steku niesprawiedliwości względem niej popełnionych. Co zatem znaczyły te podziękowania?

Naglona o wyjaśnienie Henryka odpisała, że otrzymała z poczty pakiet nieopłacony, nawet nie polecony, zawierający dwa bilety po tysiąc franków każdy. Na dowód dołączyła kopertę, na której znajdował się stempel pocztowy z Paryża i tylko jej adres, skreślony pismem widocznie podrabianem.

Skąd pochodziły te dwa tysiące franków? Kto mógł je przysłać? I dlaczego je przysłano? Możeby śledztwo co wykryło, ale na jaki ślad w tych ciemnościach trafić można?

Za rok powtórzyło się to samo. I po raz trzeci jeszcze, i po raz czwarty. Przez sześć lat przesyłka powtarzała się co roku, z tą różnicą, że piątego i szóstego roku sumę podwojono, tak że Henryka, która mocno podupadła na zdrowiu, mogła leczyć się i pielęgnować starannie.

I jeszcze jeden szczegół: kiedy raz zarząd pocztowy pod pretekstem nieprawidłowości nieopłaconej przesyłki pieniężnej zatrzymał pakiet, dwa ostatnie pakiety były już wysłane zupełnie prawidłowo — jeden z Saint-Germain, drugi z Suresne. Nadawca podpisał się na pierwszym jako Anquetty, na drugim jako Pécharde. Oba podane adresy były fałszywe.

Po upływie sześciu lat Henryka umarła. Zagadka pozostała nierozwiązana.

* * *

Wypadki te znane są publiczności. Była to jedna z tych spraw, które roznamiętniają opinię publiczną. Zaiste dziwnym był los naszyjnika; w końcu ośmnastego stulecia sprawa jego wzburzała całą Francję, w sto lat później powtórzyło się to samo. Jednak to, co chcę tu powiedzieć, nieznanem jest nikomu z wyjątkiem najbliższemu zainteresowanych i jeszcze kilku osób, których hrabina prosiła o najściślejszą tajemnicę. Ponieważ jednak jest do przewidzenia, że prędzej czy później obietnica dotrzymana nie będzie, niemał przeto żadnego skrupułu uchylić zasłony; tym sposobem znajdzie się zarówno jak słowo całej tej zagadki wyjaśnienie listu, podanego przez onegdajszego dziennika, listu niezwykłego, który dodał, jeśli to możliwe, więcej jeszcze cienia i tajemniczości niezgłębionym ciemnościom całego dramatu.

Było to przed pięciu dniami. W liczbie gości, zaproszonych na śniadanie do państwa de Dreux-Soubise, znalazły się dwie jego synowice i kuzynka, a z panów: prezes d'Essaville, deputowany Bochas, kawaler de Floriani, którego hrabia poznał w Sycylii, i generał markiz de Rouzières, stary towarzysz zwykłego ich kółka.

Po śniadaniu panie zasiadły do kawy, a pano-

wie otrzymali pozwolenie na wypalenie papierosa pod warunkiem, że nie wymkną się z salonu. Rozmawiano. Jedna z pań zabrała się do kart i rozłożyła kabałę. Potem rozmowa zeszła na niezwykłe zbrodnie. I tu pan de Rouzières, który nigdy nie opuścił sposobności ukłucia hrabiego, przypomniał wydarzenie z naszyjnikiem — temat rozmowy, którego hrabia zawsze najstaranniej unikał...

Zaraz każdy wystąpił ze swoim zdaniem. Każdy na swój sposób wyciągał wnioski. Naturalnie wszystkie przeczyły sobie wzajemnie, wszystkie były równie nieprawdopodobne.

— A jakie pańskie jest zdanie, panie Floriani? — spytała hrabina.

— Ja... ja nie mam tu żadnego zdania — odpowiedział.

Zaprzeczono żywo. Właśnie przed chwilą pan Floriani świetnie opowiadał o licznych wypadkach, w których jako syn wyższego urzędnika sądowego w Palermo, brał żywy udział, przyczem sąd jego i znawstwo rzeczy zaznaczyły się pochlebnie.

— Przyznaję — odrzekł — że powiodło mi się nieraz tam, gdzie najrzeczniejsi się cofali... Ale to nie znaczy, abym uważał siebie za Sherlocka Holmesa... A zresztą, zaledwo wiem, o co tu idzie...

Wszyscy spojrzeli na gospodarza. Wbrew chęci musiał wyłuszczyć wszystkie dane całego wypadku. Pan Floriani wysłuchał, zamyslił się, zadał kilka pytań i wreszcie wyszeptał:

— To dziwne... Na pierwszy rzut oka nie wydaje mi się, aby rzecz tak bardzo trudną była do zbadania.

Hrabia wzruszył ramionami. Ale goście otoczyli już pana Floriani, a on mówił dalej nieco dogmatycznym tonem:

— Naogół chcąc wykryć sprawcę zbrodni lub kradzieży, należy przedewszystkiem zadać sobie pytanie, w jaki sposób zabójstwo, czy kradzież popełnione zostały? W wypadku obecnym rzecz jest, według mnie, bardzo prosta, bo znajdujemy się nie wobec wielu hipotez, lecz wobec pewności jedynej, silnej, która streszcza się w tych słowach: ten ktoś, kto wszedł, mógł wejść tylko przez drzwi od pokoju, albo przez okno. Drzwi, zamkniętych na zamek, nie można otworzyć z zewnątrz. A zatem wszedł przez okno.

— Okno było zamknięte i znaleziono je zamkniętem — oświadczył stanowczo pan de Dreux.

— Aby tego dokonać — ciągnął dalej Floriani, nie zważając na przerwę — trzeba tylko było ustawić most, deskę, czy drabinę, pomiędzy gankiem kuchennym a deską u okna, i skoro tylko pudełko...

— Ale powtarzam panu, okno było zamknięte! — wykrzyknął hrabia już zniecierpliwiony.

Tym razem Floriani musiał odpowiedzieć. Uczynił to z największym spokojem, jak człowiek, którego podobnie błahy zarzut nie miesza wcale.

— Chętnie wierzę, iż tak było, ale czyż nie znajdował się tam lufcik?

— Skąd to pan wie?

— Po pierwsze lufciki znajdują się niemal bez wyjątku we wszystkich domach tamtej epoki, powtóre, musiał być koniecznie, inaczej fakt kradzieży nie dałby się wytłomaczyć.

— Rzeczywiście lufcik jest, ale tak jak i okno, był zamknięty. Nawet nie zwrócono na niego uwagi.

— To źle. Bo gdyby zwrócono uwagę, spostrzeżonoby z łatwością, że był otwierany.

— Jakim sposobem?

— Przypuszczam, że tak jak i inne lufciki otwiera się zapomocą splecionego drutu, zaopatrzonego na końcu w kółko metalowe.

— Tak.

— I kółko to wisiało pomiędzy oknem a kufrem?

— Tak jest; ale nie rozumiem...

— Właśnie. Przez szparę, jaka często się zdarza między szybą a ramą, można było zapomocą jakiegoś narzędzia, przypuśćmy żelaznego haczyka, zaczepić kółko, pociągnąć w dół i otworzyć.

— Wybornie! Wybornie! — roześmiał się hrabia szydlerczo — urządzasz pan wszystko bardzo łatwo! zapominasz pan tylko o jednej rzeczy, kochany panie, że nie było tam szpary, jaka często się zdarza.

— Była tam szpara.

— O, proszę! spostrzeżonoby ją.

— Aby spostrzedz, potrzeba patrzeć, a nie patrzano. Szpara istnieje; jest fizyczną niemożliwością, aby nie istniała... wzdłuż szyby, obok kitu... w kierunku pionowym naturalnie...